

Tajemnicze oczy.

(Powieść na tle notatek amerykańskich dedektywów).

I.

PRZYJACIELE.

Było to z końcem września, ale upał był prawdziwie lipcowy. Na ulicach Chicago dość było pusto, mimo, że miasto zawsze ożywione i zwykle tłumy chodzą po ulicach, pędzone prawdziwą żądzą zysku.

Tu i ówdzie ktoś się przesunął, tu i ówdzie jakaś gromadka ludzi wracała na popołudniowy spoczynek.

Kolo biura ogłoszeń pod firmą: „Trybuna“ było cokolwiek ruchliwiej, bo właśnie teraz, w godzinach południowych, najwięcej mieli czasu różni interesanci. Były to różne panie, mające do wynajęcia meblowane pokoje kawalerskie, lub starsi panowie, którym było potrzeba wygodnego mieszkania, przy jakiejś rodzinie; nie brakło też robotników bez zajęcia i ubogo odzianych ludzi, o twarzach bardzo inteligentnych, którzy pragnęli jakiegokolwiek posady.

Wszyscy wchodzili i wychodzili prędko, kiedy się spieszył, bądź do zajęcia, bądź na obiad — a niejeden spieszył po to, by znaleźć cień nad głową w jakim publicznym ogrodzie, gdy mu na obiad nie starczyło grosza.

Jakiś wykwintnie ubrany młody człowiek nie spieszył się wcale, tylko z wtórcznym zainteresowaniem spoglądał na wchodzących i wychodzących, przypatrywał się wspaniałym wystawom w rozlicznych handlach; miał wygląd człowieka, który dla zabicia czasu przeznacza się po ulicy, albo jakiegoś przybysza, co po raz pierwszy zjawiał się w Chicago i ciekawie przygląda się miastu.

Pięknie zbudowany, nawet okazały mężczyzna, miał rysy twarzy bardzo inteligentne, wyraziste. Z wielkich ciemnych oczu tryskała energia i bystrość umysłu. Właśnie stanął przed nową wystawą sklepową, gdy z biura ogłoszeń wyszło trzech młodych ludzi i zdążyło ku niemu. Mimo, że bardzo ciekawie wpatrywał się we wystawę, można było spostrzedz, że nie spuszczał z oka nikogo, kto z biura ogłoszeń wychodził, więc i teraz niby od niechcenia, a jednak bystrym wzrokiem, spojrzawszy na trzech towarzyszy. Widać dopatrzył się wśród nich znajomego, bo zwrócił się ku nim, jakby do przywitania.

— Neill rzekł do jednego z trzech.
— Bob! odpowiedział zagadnięty i wyciągnął rękę do uścisku.
— Co za spotkanie!
— Jakże się cieszę.
— Ale nie jesteś sam. Może nie masz czasu?
— Ależ mój drogi, moi towarzysze wybaczą, że się do ciebie przyłączę, bośmy się to przecież przez lat kilka nie widzieli. Pan Artevelde, pan Fergus, a tu mój przyjaciel Bob. Wybaczą panowie, że was opuszczę.

— Ależ to rzecz zupełnie słuszną, żebyście się panowie po kilku latach niewidzenia nacieszyli sobą mogli, rzekł Artevelde. Tylko przypomnij banu dzisiejszy wieczór. Niechże pan nie zapomni. Będzie bardzo wesoło. Takiego grona pięknych panien nie spotyka się codziennie.

— Wprawdzie bardzo to miło spędzić wieczór w takim towarzystwie odpowiedział Neill, ale dla pana jest to bardziej pożądane, niż dla mnie.

— Zawsze mi pan to przygania, że lubię piękne kobiety.

Raczej to, że pan lubi bałamucić. Ale to także pewen rodzaj sportu. No nie gniewaj się pan, panie Artevelde, wszakże to żarty.

— Ależ wiem dobrze, a na dowód tego wytłumaczę pana, jakby najlepszy przyjaciel, przed panią Ruivens.

— Dziękuję bardzo. Do widzenia panowie. Artevelde i Fergus oddalili się spieszenie, a dwaj przyjaciele zatrzymali się chwilę na ulicy.

— Skąd się tu wzięłeś Bob? Zapytał Neill, ściskając ponownie rękę przyjaciela.

— Wszystko ci opowiem, ale schowajmy się gdzieś do cienia, bo mnie ta przechadzka po rozpalonej ulicy dyabelnie zmęczyła.

— Chodźmy do „Tivoli“.

— A czy tam jest jeszcze ten tłusty murzyn, któregośmy od zlynchowania obronili?

— Ależ ty już dawno nie byłeś w Chicago.
— Cóż się z nim stało?
— I ty specjalista nie wiesz o tem?
— Jak to, czyby i on także?
— A widzisz specjalist! Tym razem uszedł twej ręki, ale został się mimo tego pod rygiel.
— Czy z ręką gniazdem?
— Głazdka się rozproszyło i jego tylko chwyciło. Ale skoro tu jesteś, to może będzie dla cię robotą.

Tak rozmawiając zaszli do ogrodu, i usiadłszy w zacisznej altanie, przy dobrym winie i przekąskach, rozmawiali serdecznie.

— Więc co tu właściwie porabiasz? — zapytał Bob Jocellym.

— Wyjechałem z New Yorku dla odpoczynku, a raczej dla odmiany powietrza i stosunków. W New Yorku za dużo miałem pracy i czułem, że się wyczerpuję, że mię opuszcza energia. Przebywam tu jako turysta, który jeździ po świecie, żeby się zabawić, i dlatego to spotkałeś mię w towarzystwie takich dwóch darmozjadów. Artevelde i Fergus. Ale gdzież ty przebywałeś przez trzy lata?

— Historia dość długa i ciekawa, ale właśnie dla tego opowiem ci o tem, gdy się znajdziemy tam, gdzie niema ciekawych. Ale tymczasem powiedz mi dlaczego też nie dobrałeś sobie lepszego towarzystwa?

— Nie podobają ci się Artveldt i Fergus?

— Powiem ci prawdę, że ten Artveldt wygląda mi na głupca i próżniaka, a ów Fergus na wielkiego łajpaka.

— Wybornie! Znakomicie! A niechże cię uściskam kochany Bob, zgadłeś. Widzę, że nie tracisz bystrości oka. Ale właśnie dlatego jest mi ich towarzystwo bardzo przydatne, a być może, że mi za to podziękujesz, jako specjalista.

— Ej, czy jesteś na tropie?

— Właściwie nie, ale zdaje mi się, że będę. Artveldt jest synem bardzo bogatej wdowy, należy do złotych młodzieńców, traci pieniądze, których matka mu nie żałuje, bo jest jednak em; przegrwa wiele w karty, może nawet więcej, niż od matki dostaje; prócz tego jest niezwykle Don Juatem, bałamuci kobiety na prawo i lewo, bo uchodzi za partę znakomitą i najrozmaitszą ze matki i ciotki polują na niego dla swych córek i siostrzenic. I karty i Donjuatstwo pochłaniają takie sumy, że warto się załamać, są na to bierze. Fergus jest jego nieodstępny towarzyszem, wiernym adiutantem, powiernikiem, a z zawodu dziennikarzem.

Otoż mój drogi przyznasz zapewne, że to interesujące towarzystwo — taki utracysz i taki przy nim zagadkowy dziennikarz.

— Słuchaj Neill! Tu j z chybą nie mamy co robić, więc chodź do mnie do hotelu „Tremont“.

— I owszem. Głodni nie jesteśmy, Tivoli nie ciekawe, a twoją historję chcia bym usłyszeć czempredzej.

Gdy się znaleźli w czterech ścianach hotelowego pokoju, uściskali się ponownie najserdeczniej. Była między nimi przyjaźń braterska, a prócz tego łączył ich stosunek jakby mistrza z najznakomitszym uczniem.

Bob Jocellyn był w dwudziestym czwartym roku życia znakomitym agentem policyjnym, któremu powierzać zaczęto najtrudniejsze sprawy a szczególnie, gdy było potrzeba łupić fałszerstwo pieniędzy, wówczas w Ameryce bardzo rozpowszechnione. W owym czasie przydzielono mu młodego chłopca do pomocy. Był to Neil Stuart, pochodzący z rodziny niegdyś zamożnej, w Ameryce z dawna osiadłej. Rodzina podupadła bardzo, Neil Stuart osierocił w piętnastym roku życia, a że nie miał środków, aby skończyć studia, przyjął posadę w policyi, gdzie takiego młodzieniaszka potrzebowano. Był to chłopiec bardzo urodziwy, o rysach twarzy miękkich, kobiecych, postaci smukłej, wiotkiej. Nadzwyczaj zdolny, bystry, przy tem śmiały, pełen zadziwiających pomysłów, był ulubieńcem przełożonych, a jako uczeń — chluba Jocellyna. Posiadał też ogromne poczucie sprawiedliwości, zdumiewającą u takiego młodzieńca rozwagę i serce pełne tkliwości. Jocellyn pokochał go jak brata i po bratersku się nim opiekował. Przez lat pięć byli bezustannie z sobą, dopóki Jocellyn nie wyjechał do Europy w sprawach swojego zawodu; teraz po kilku latach, spotkali się znowu. Neil Stuart nie był już młodzieniaszkiem, ale pięknym mężczyzną, chociaż owa kobieca miękkość rysów nie zmieniła się u niego, mimo sporego woska.

— Ty wisusie jakiś, mówił Jocellym, tak się

cieszę, że znowu jesteśmy razem, jakgdybym brał z grobu dobyt. A siadźże chłopcze i zapal cygaro. Nie pisałem do ciebie, bo ty wiesz dobrze o tem, że jak się urządza nagonkę, to trzeba chować się w lesie.

— Mój Bob kochany, bardziej mnie ciebie brakło, bo niemam nikogo na świecie prócz ciebie. Smutna dola sieroca. Gdyby nie to, że strzegę ludzkiego mienia, że tak często mi się zdarzyło ochronić uczciwość, cnotę od niesprawiedliwych wyroków ludzkich, to życie byłoby gożkie. Ale w tem cały powab życia a nawet i sodycz w niem wielka, że wiele dobrego zdziałać można, że można walczyć z podłością i niegodziwością, zwyciężać ją i unicestwiać.

— A jednak nasz zawód spotyka się tak często z lekceważeniem u ludzi, zwłaszcza z tamtej strony oceanu. Przekonałem się o tem — goniąc całemi latami po Europie.

— A coż ty zakochał się się po Oceanem? Powiem ci prawdę, że byłem niespokojny — dowiadywałem się o ciebie w naszym burze. Powiedziano mi, żeś ugrzązł gdzieś w jakimś zakątku Francji. i że stamtąd prosiłeś o przedłużenie urlopu.

— Należy to do kilkoletniej historii mojej tułaczki poza Oceanem. Słuchaj więc. Wiesz o tem, jak mię wyprawiano do Anglii. Sprawiliem się dość prędko i mogłem już wracać, gdy w Londynie stała się rzecz niesłychana. Cała policja londyńska była w ruchu, rozpoczęto śledztwa i pościg.

— Cóż to za sprawa tak wielka?

— Pewnieście o niej słyszeli i tutaj. Młoda żona zamordowała swego męża i jego siostrę i znikła bez śladu. Zamordowany był człowiekiem bardzo bogatym. Rodzina jego wyznaczyła tysiąc funtów nagrody za ujęcie zbrodniarki. Chciano posłużyć się na znakomitszym agentem angielskim, ale ten w tym czasie był zajęty na stałym ładzie jakimś pościgiem, więc ja zgłosiłem się do policyi londyńskiej i ofiarowałem się na usługi. Nie takomilem się tyle na wynagrodzenie, ile pragnąłem zyskać sławę dla naszej policyi. Poprosiłem więc naszych o urlop i rozpocząłem robotę.

— Jakże ci się powiodło?

— Dotychczas pudłowałem; zwierzyzna ucieka. Przez trzy lata goniłem po całej Europie, docierałem do każdego zakątka, i zawsze daremnie. I żadnego po niej śladu?

— Najmniejszego.

— A czy miałeś jej fotografię?

— Tylko jedno oko z fotografii kolorowanej.

— A to jakim sposobem.

— Ta kobieta z piekła rodem, była tak przebiegła, że wszystko zniszczyła. Spaliła wszelkie swoje pisma, zabrała wszelkie suknie, podarła w najdrobniejsze strzępy fotografie, a tylko z jednej wyszukałem to co widisz: oczone oko. Opis jej osoby od nikogo uzyskać nie mogłem, bo właściwie nikt jej nie znał. Stary mąż trzymał ją, jakby w zamknięciu, wraz ze starą swoją siostrą a służba bądź się rozproszyła, bądź tak bałamutne dawała opisy, że z nich należytego wyobrażenia wyrobić sobie nie mogłem.

— A widzisz Bob — śmiałeś się ze mnie zawsze, gdym ci powtarzał, że przebiegła kobieta zdoła nawet dyabła oszukać, a coż dopiero agenta policyjnego.

— Przypatrz no się temu oku.

Śliczne oko, niezwykle. Sądzę po niem można przypuszczać, że to była kobieta namiętna, pełna determinacji, a zdolna do szatańskiej obłudy.

— Ej Stuart, aż tyle wyczytałeś z tego oka?

— A czyż mnie nie nazywano specjalistą od fałszywych pieniędzy?

— Nie będę się z tobą kłócił, bo masz słusność. Istotnie, że z tego, co o niej tu i ówdzie słyszałem, nie można innego nabrać wyobrażenia. Ma to być osoba bardzo piękna, brunetka, niska, bardzo zgrabna, opowiadają że ma niezwykle zgrabną stopę. Umie się podobać, posiada nadzwyczajną zręczność w kokieterii. Ktoś nawet mówił, że czyniła na nim wrażenie laszającego się kota. Oto wszystko czego dowiedzieć się o niej mogłem. Że u niej na dnie duszy musi być brudna żądza bogactwa, dowodzi to, że starego męża nie tylko zabiła, ale i obabowała. Nie można więc upatrywać w tem morderstwie pobudek tylko erotycznych; prawdopodobnie przeważała tu chciwość.

— A na jakiejże podstawie i według jakich przypuszczeń szukałeś jej po Europie?